POLITYKA

Jerzy Kochanowski, 30 października 2010

1950 r: dziesięć dni, które wstrząsnęły portfelem

Dziesięć dni, które wstrząsnęły portfelem

Niedzielny poranek 29 października 1950 r. olbrzymia część Polaków zapamiętała do końca życia. Wszyscy bowiem trzymający oszczędności w bieliźniarce obudzili się – w wyniku wymiany pieniędzy – o dwie trzecie ubożsi!

Polacy zostali pozbawieni oszczędności po raz trzeci w ciągu zaledwie 11 lat. Najpierw pochłonął je upadek państwa w 1939 r., potem wymiana pieniędzy w latach 1944–45. Jeżeli te straty można było jeszcze wytłumaczyć wojną, to akcja przeprowadzona w 1950 r. była wyrachowanym, starannie przygotowanym działaniem władz, mającym na celu dopasowanie złotówki do bratniego rubla, zmniejszenie nacisku na pustoszejący rynek i uderzenie w resztki prywatnej inicjatywy. Jak przy każdej wymianie, na której władze chciały zarobić (w ZSRR przeprowadzono taką w grudniu 1947 r.), oszczędności trzymane w skarpecie wymieniano po kursie znacznie bardziej niekorzystnym niż pensje, ceny i wkłady bankowe (pierwsze 100:1, drugie 100:3).

Sprawny aparat

Gwarancją powodzenia takiej operacji było zaskoczenie. Trzeba przyznać, że to się władzom udało. „Oo. Bernardyni z Czerniakowskiej [w Warszawie] – donosił 30 października agent UB – wyrażają podziw z powodu sprawności organizacyjnej aparatu państwowego, który potrafił zachować fakt wymiany w takiej konspiracji”. Tego samego dnia w kolejce do punktu wymiany w Kolbuszowej wyrażano podziw w nieco innej formie: „niech szlag trafi Amerykę (…) za to, że nie ma dobrego wywiadu w Polsce i nie uprzedziła ludności o mającej nastąpić wymianie pieniędzy”. Rzeczywiście, całą operację przygotowywano w takiej tajemnicy, że o szczegółach wiedziało zaledwie kilka osób spośród partyjnego establishmentu. W rezultacie o pracach nad tzw. nowym systemem pieniężnym do dziś wiemy niewiele, chociaż nowa waluta czekała w skarbcach już od dłuższego czasu. Drukowane bowiem przede wszystkim za granicą banknoty noszą datę 1948 r., a wybity również poza Polską bilon – 1949 r.

Możemy również tylko spekulować, dlaczego wybrano właśnie przełom października i listopada 1950 r. A więc dopiero w marcu 1950 r. przyjęto w ZSRR nowy parytet dla rubla (0,222 grama złota). Należało też rozpocząć akcję tuż przed ogólnie przyjętą datą wypłat wynagrodzeń. Jesień była dogodna także z innych powodów – aura nie utrudniała władzom logistyki, ale nie sprzyjała ewentualnym sprzeciwom społeczeństwa. Nie bez znaczenia był

fakt, że chłopi już sprzedali plony (i dysponowali gotówką), a mieszkańcy miast nie zdążyli jeszcze wydać oszczędności na zimowe zakupy (opał, odzież).

Także w odpowiedzialnym za całą operację Ministerstwie Bezpieczeństwa Publicznego szczegóły znała tylko garstka najbardziej zaufanych. Dopiero dwa dni przed rozpoczęciem akcji o nadejściu specjalnych transportów (nie określono jednak jakich) zostały poinformowane Wojewódzkie Urzędy Bezpieczeństwa Publicznego, odpowiedzialnością za odpowiednie przyjęcie i zabezpieczenie obciążono personalnie ich szefów. Stan pogotowia dla UB i MO ogłoszono od północy z 28 na 29 października. Funkcjonariusze, wspierani przez wojsko, mieli zapewnić transport pieniędzy do punktów wymiany w powiatach i gminach, a potem je ochraniać. Szczególną uwagą mieli otoczyć kasy w terenie, gdzie prawdopodobieństwo zarówno oszustw, jak i napadów zbrojnych było największe. Ubecy i milicjanci, wspomagani przez ORMO, SOK, aktywistów partyjnych i młodzieżowych, mieli również zadbać o odpowiednie funkcjonowanie sklepów, sieci handlowej, poczty, kolei, usług. Polecono zaktywizować całą agenturę, zobligowaną do donoszenia o każdej podejrzanej pogłosce, wrogiej wypowiedzi, ulotce, próbie sabotażu, strajku czy zbiegowiska.

Jeden rubel, ćwierć dolara

Nie ulegało wątpliwości, że do tajemnicy muszą zostać dopuszczeni (w ostatniej chwili) również bankowcy, handlowcy, drukarze. Wezwani na sobotę, 28 października, do stolicy dyrektorzy wojewódzkich oddziałów NBP już od godz. 15 nie mogli opuszczać pomieszczeń, w których odbywało się szkolenie. Kiedy wieczorem zaczęli się rozjeżdżać do swoich miast, każdemu towarzyszył pracownik MBP. Można tylko przypuszczać, że nagłe zwołanie do Warszawy prominentnych bankowców mogło być jakąś wskazówką, gdyż ruch w bankach był tego dnia wyraźnie większy niż w przeciętną sobotę.

Od samego rana chroniony był Dom Słowa Polskiego, gdzie drukowano niedzielne gazety donoszące o reformie. Zarówno tam, jak w Sejmie i Ministerstwie Handlu Wewnętrznego założono podsłuchy telefoniczne, a wieczorem, 28 października, po prostu odcięto połączenia. Szkolenie pracowników MHW zaczęło się o godz. 18. Żaden z uczestników nie mógł opuścić piętra w domu towarowym przy ul. Widok. Dopiero po 11 wieczorem zaczęli się rozjeżdżać – również w towarzystwie funkcjonariuszy UB – po kraju.

O godz. 23 „reforma walutowa” była już nie tylko planem, ale – od kwadransa – faktem. Kiedy bowiem wieczorem posłowie powrócili na salę obrad, okazało się, że towarzyszy im m.in. premier Józef Cyrankiewicz, odpowiedzialny za gospodarkę wicepremier Hilary Minc i minister obrony narodowej Konstanty Rokossowski. Wkrótce stało się jasne, dlaczego nudną dotychczas sesję zaszczycili tacy goście. Wicemarszałek Wacław Barcikowski zapowiedział bowiem nowy punkt obrad: zgłoszone przez Radę Państwa i rząd ustawy o zmianie systemu pieniężnego. Powody i założenia reformy tłumaczył minister finansów Konstanty Dąbrowski. Wskazywał, jak mocny będzie nowy polski pieniądz, oparty na parytecie złota (1 zł = 0,222 gr

kruszcu), odpowiadający teraz nie tylko jednemu radzieckiemu rublowi, ale i ćwierci amerykańskiego dolara. Tym samym nowa złotówka była teoretycznie mocniejsza niż przed wojną! Nowy pieniądz miał nie tylko sprzyjać „stałemu podnoszeniu się realnej wartości płac i zarobków" czy „rozwojowi oszczędności pieniężnych ludności", ale również wzmocnić wymianę między wsią i miastem oraz ogólnie przyczynić się do rozwoju gospodarki. Mówca podkreślał, że reforma uderzy przede wszystkim w „kapitalistów" i „spekulantów", pozbawiając ich „poważnej części nagrabionych (...) kapitałów". Niemało miejsca poświęcił zasadom wymiany, która miała się rozpocząć w poniedziałek, 30 października, i potrwać do 8 listopada. Następnie zaprezentował kolejną ustawę, zakazującą posiadania dewiz oraz kruszców w postaci „nieużytkowej". Zapowiedział również podwyżkę o 50 proc. (od 30 października) ceny wódki, co motywował walką z alkoholizmem.

W dyskusji wzięły udział zaledwie dwie osoby – szef związków zawodowych Wiktor Kłosiewicz i Józef Ozga-Michalski jako przedstawiciel chłopów – i entuzjastycznie poparli rządowe pomysły. Obie ustawy uchwalono jednogłośnie i przyjęto „hucznymi oklaskami". O godz. 22.45 wicemarszałek Barcikowski ogłosił zamknięcie obrad.

Wkrótce informację o reformie podano przez radio. Ten, do kogo hiobowa wieść dotarła wcześnie, próbował uratować choć część oszczędności. Powszechnie stosowaną (głównie na prowincji) strategią było ruszanie do dalej położnych, pozbawionych dostępu do informacji wsi i kupowanie wszystkiego, co miało wartość: koni, bydła, trzody, drobiu, pierzyn, poduszek. Oddawano stare długi, regulowano należności za pracę etc. Chociaż propaganda oskarżała o takie czyny przede wszystkim kułaków i spekulantów, postępował tak każdy mający ku temu okazję. Np. w podlaskim Brańsku sekretarz Gminnej Rady Narodowej w nocy zaczął budzić chłopów, chcąc kupić bydło. W tym przypadku potraktowano go jak wariata, jednak wielokrotnie takie transakcje dochodziły do skutku. Władze demonstracyjnie stawały po stronie „biedniaków", karząc ujawnionych nabywców i zwracając zwierzęta. Np. w województwie gdańskim „zwrócono poszkodowanym machinacjami kułaków, głównie biednym chłopom, 7 koni, 6 krów, 10 świń, owce i gęsi". Ukłonem w stronę biedniejszej części wsi było umożliwienie spłaty podatku gruntowego w starych pieniądzach. To też wykorzystywali bogatsi sąsiedzi, pożyczając pieniądze i żądając zwrotu już w nowej walucie, ale w lepszej relacji niż otrzymaliby w punkcie wymiany (np. 100:2).

ORMO pod sklepem

W miastach, gdzie wszyscy dowiedzieli się o wymianie mniej więcej w tym samym czasie, strategie społeczeństwa musiały być odmienne. W niedzielę można było w kinach, teatrach czy placówkach gastronomicznych płacić starymi pieniędzmi (od 30 października do 5 listopada można było kupować za nie podstawowe artykuły, ale w przeliczniku 100:1). Przed kioskami z gazetami, cukierniami, sklepami ustawiły się więc długie kolejki chętnych do wydania pieniędzy. Dla prywatnych kupców czy restauratorów sprzedaż czegokolwiek tego dnia było czystą stratą, próbowano więc w ogóle nie otwierać sklepów i cukierni, czemu

z kolei przeciwdziałała milicja, ORMO, grupy aktywistów młodzieżowych i partyjnych. Sklepikarze próbowali się jeszcze ratować, oddając towar „na zeszyt", pod warunkiem spłaty już w nowych pieniądzach.

W sklepach państwowych i spółdzielczych personel powszechnie ukrywał towary, wykazując w remanentach, że zostały sprzedane do soboty. Potrzebna do takiej operacji gotówka była nieraz inwestycją rodziny lub zaufanych znajomych sprzedawców. Gromadzono, z nadzieją na korzystną odsprzedaż, wszystko, co można było dłużej przechować: cukier, papierosy, alkohol, artykuły tekstylne. Wszelkie gwarantowane przez państwo zobowiązania miały być przeliczane po dobrym kursie, na porządku dziennym było więc fałszowanie na pocztach przekazów pieniężnych, pozornie wysyłanych jeszcze 28 października. Podobnie jak na wsi starano się zwracać długi, płacić za usługi i przede wszystkim – oblegano knajpy. Chodziło nie tyle o zalanie robaka, co o wydanie pieniędzy w nie najgorszy w końcu sposób. Wobec podwyżki cen wódki jej sprzedaż była w niedzielę zakazana. Mało kto jednak tego przestrzegał i 29 października pobito chyba wszelkie rekordy w spożyciu wysokoprocentowych alkoholi.

Dla ludności miast i wsi

Władze z niepokojem obserwowały zachowanie kleru, tym bardziej że większość Polaków spotkała się podczas niedzielnych mszy. Księża byli jednak zbyt zastraszeni, aby otwarcie wyrażać dezaprobatę. Podczas nabożeństw decyzje władz komentowano sporadycznie, częstsze było natomiast nawoływanie o niewymienianie pieniędzy, lecz ofiarowanie ich na kościół. Agenci z całego kraju donosili o wyjątkowo wysokich tego dnia datkach na tacę. Np. w Dubiecku na Rzeszowszczyźnie jedna z parafianek dała 50 tys. zł, powszechnie zaś rzucano 500–1000 zł. Tak czy inaczej, i te pieniądze znalazły się w kolejnych dniach w punktach wymiany.

Rozpoczęta w poniedziałkowy poranek akcja wymiany rozkręcała się powoli. Kasjerzy, zwłaszcza w małych miejscowościach, nieprzyzwyczajeni do takich operacji, mimo wzmocnienia posiłkami z miast, nie dawali sobie rady. Byli zdezorientowani, stremowani, na nich skupiała się często frustracja mieszkańców. Dla posiadaczy większych sum problemem była nie tylko strata dwóch trzecich oszczędności, ale również sam fakt ich ujawnienia, zwracający uwagę władz. Mieli zresztą rację, gdyż każdy interesant z grubszym portfelem był starannie odnotowywany. Początkowo obserwowano więc procedurę wymiany, starając się znaleźć sposób uratowania już nie tyle pieniędzy, co siebie. Bogaci chłopi, młynarze, restauratorzy, kupcy, by nie wchodzić w oczy miejscowym szpiclom, dokonywali wymiany w innej gminie lub w większym mieście, gdzie łatwiej było zginąć w tłumie. Sporadycznie zamieniano też od razu większą gotówkę, przynosząc nie więcej niż 300 tys. zł. Często proszono o dokonanie wymiany członków rodziny lub znajomych. Podobnie postępował Kościół, warszawska kuria rozdała pieniądze proboszczom. Ci z kolei własne zasoby powierzali zaufanym parafianom.

Jak deklarował podczas sejmowego exposé minister Dąbrowski, jednym z podstawowych celów reformy było „dokonanie przesunięcia części zasobów pieniężnych kapitalistów na rzecz ludności pracującej miast i wsi”. Propaganda podkreślała, jak zadowoleni z wymiany są biedniejsi chłopi i robotnicy. Rzeczywiście, takie deklaracje nie należały do rzadkości. Np. w podradomskim Skaryszewie „chłopi uśmiechali się z zadowoleniem”, słysząc narzekania stojącej w kolejce do wymiany żony młynarza. Szybko się jednak okazało, że znaczną część oszczędności prywatna inicjatywa już dawno zamieniła na złoto, dewizy i towary, a reforma uderza w żyjących z pensji, którzy nagle stracili większość oszczędności na zakup opału, butów czy płaszcza. Powszechne były takie doniesienia, jak z Zabrza, gdzie niezidentyfikowany robotnik „w stanie podchmielonym śpiewał na ulicy: wygrali, wygrali, komuniści wygrali, bo pieniądze robotnikom zabrali, zabrali”. Na życie targali się nie tylko tracący krocie bogacze, lecz także robotnicy z uciułanymi kilkoma tysiącami złotych. Jak zresztą skrupulatnie odnotowały raporty UB, powszechnie złorzeczyli również członkowie PZPR i funkcjonariusze MO.

Zakaz posiadania

Ustawiczne porównywanie nowej złotówki do „najsilniejszej waluty świata” – rubla, dawało podstawę do plotek (zresztą nieodległych od prawdy), że reformę przeprowadzono na rozkaz Kremla. Jakiś szpicel donosił o wypowiedziach w Wałczu, że „na monetach brakuje tylko sierpa i młota, to wtedy byłby komplet”. Sposobem odreagowywania było błyskawiczne pojawienie się licznych dowcipów, np.: „– Jak wyszedłeś na wymianie? – Zrobiło się troszkę pieniędzy. – Co mówisz! W jaki sposób? – Było dużo – zrobiło się troszkę”. Lub: „– Jak z wymianą u ciebie? – Straciłem tysiąc złotych... – Co, tylko tyle? – ...dolarów”.

Jak bowiem wspomniano, druga z uchwalonych 28 października ustaw zakazywała już nie tylko nielegalnego handlu dewizami lub kruszcami, ale wręcz ich posiadania: pierwszych całkowicie, drugich – w „postaci nieużytkowej”. Dewizy, złoto czy platynę należało do 15 listopada odsprzedać państwu (po całkowicie nieopłacalnym kursie) lub oddać w depozyt. Za samo posiadanie złotych monet lub sztabek groziło do 15 lat więzienia, za handel nimi – nawet kara śmierci. Mimo to spora część posiadaczy złota i dewiz postanowiła obronić swoje rezerwy. Powszechną strategią było potajemne przerabianie złotych monet na legalne pierścionki lub obrączki czy deponowanie walut u mniej podejrzanych znajomych lub dyplomatów. Władze doskonale zdawały sobie z tego sprawę i gdy tylko zaczęto ok. 5 listopada likwidować punkty wymiany złotówek, funkcjonariuszy UB i MO rzucono do demonstracyjnych akcji przeciwko posiadaczom walut. Trzeba przyznać, że z widocznym skutkiem – jeżeli w województwie gdańskim do 4 listopada placówki NBP skupiły zaledwie 1542 dol., to tylko 13 listopada – 4223. Do 15 listopada gdańszczanie odstąpili państwu ponad 21 tys. dol., prawie 5,5 tys. funtów i 4,5 kg złota.

W różnych „bankach ziemskich” pozostało jednak niemało złotych rubli, dolarów, marek. Znacznie lepiej powiodło się państwu z rodzimą walutą – wymieniono 98,5 proc. pieniędzy

znajdujących się w obiegu, pauperyzując przy okazji niemałą część obywateli. Pozostawiło to tak głębokie ślady w pamięci zbiorowej, że praktycznie do końca PRL każda plotka o wymianie pieniędzy błyskawicznie wywoływała panikę, wyścig do banków i sklepów, a przed denominacją w 1995 r. władze długo i cierpliwie przekonywały Polaków, że naprawdę nie ma się czego obawiać.

Autor jest profesorem w Instytucie Historycznym Uniwersytetu Warszawskiego. Wkrótce ukaże się jego książka o czarnym rynku w PRL.
